

Joseph Delaney, Wiedźmi spisek (Kroniki Wardstone, tom IV)

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy skończyłem koszenie. Trzeba było jeszcze zebrać trawę, lecz uznałem, że to może poczekać do rana. Mój mistrz i ksiądz wciąż nie wracali. Zmierzałem właśnie do domu i zaczynałem się martwić, gdy spoza niskiego murku po lewej dobiegł mnie cichy szelest stopy stawianej w trawie.

– Świetnie się uwinąłeś – powiedział dziewczęcy głos. – Od wielu długich miesięcy nie było tu tak porządnie.

– Alice! – krzyknąłem, obracając się.

Ale to nie była Alice, choć głos brzmiał bardzo podobnie. Po drugiej stronie niskiego muru ujrzałem dziewczynę mniej więcej tego samego wzrostu, choć może nieco starszą od Alice, ale podczas gdy ona miała piwne oczy i czarne włosy, oczy tej nieznanym były zielone jak moje, a jej jasne włosy opadały na ramiona. Na sobie miała wyświeconą, jasnoblękitną letnią suknię o wystrzępionych rękawach i przetartych łokciach.

– Nie jestem Alice, lecz wiem, gdzie można ją znaleźć – oznajmiła dziewczyna. – Przysłała mnie po ciebie. Powiedziała, że masz przyjść bez zwłoki. Sprowadź do mnie Toma, rzekła, potrzebuję pomocy! Sprowadź go i to szybko. Nie mówiła jednak, że jesteś taki ładniutki, znacznie ładniejszy od twego starego mistrza!

Poczułem, że się rumienię. Instynkt podpowiadał, by nie ufać dziewczynie. Owszem, wyglądała miło, oczy miała wielkie i błyszczące, lecz kiedy mówiła, na jej twarzy dostrzegłem coś podstępного.

– Gdzie jest Alice? Czemu nie mogła przyjść z tobą?

– Jest niedaleko, o tam – dziewczyna wskazała mniej więcej na południe. – Najwyżej dziesięć minut stad, to wszystko. Nie mogła przyjść, bo ma na sobie pęta.

– Pęta? Co to takiego? – spytałem.

– Uczeń stracharza nigdy nie słyszał o zakłęciu pętającym? Co za wstyd. Twój mistrz nie uczy cię jak należy. Alice jest zaczarowana. Trzymają ją na krótkiej smyczy. Nie może oddalać się więcej niż sto kroków od miejsca, gdzie rzucono zakłęcie. Dobrze wykonane, jest lepsze niż łańcuchy. Ale ja mogę cię doprowadzić bardzo blisko.

– Kto to zrobił? – spytałem ostro. – Kto rzucił zakłęcie?

– Któżby, jak nie Mouldheelowie – odparła dziewczyna. – Uznali Alice za małą zdradziecką wiedźmę. Z pewnością dadzą jej w kość.

– Pójdę po laskę – oznajmiłem.

– Nie ma na to czasu. Nie ma czasu do stracenia. Alice grozi niebezpieczeństwo.

– Zaczekaj tutaj – poleciłem stanowczo. – Wrócę za parę minut.

To rzekłszy, pobiegłem do domu, zabrałem laskę i popędziłem w miejsce, gdzie czekała dziewczyna. Szybkowspiąłem się na mur i dołączyłem do niej. Zerknąłem na stopy, sprawdzając, czy nie nosi szpiczastych trzewików, lecz ku memu zdumieniu okazała się bosa. Dostrzegła moje spojrzenie i uśmiechnęła się. Kiedy się uśmiechała, wyglądała bardzo ładnie.

– Latem nie potrzebuję butów – oznajmiła. – Lubię czuć pod stopami ciepłą trawę, a wokół kostek chłodny powiew. Tak w ogóle mówią mi Mab – to moje imię, gdybyś go potrzebował.

Odwróciła się i ruszyła szybkim krokiem, kierując się na południe, w stronę Wzgórza Pendle. Na zachodnim niebie wciąż pozostało nieco światła, wiedziałem jednak, że wkrótce zrobi się zupełnie ciemno. Nie znałem okolicy i pomyślałem, że warto by zabrać lampę. Lecz moje oczy radzą sobie w ciemności lepiej niż oczy większości ludzi, a po jakichś dziesięciu minutach spoza kępy drzew wynurzył się wąski sierp księżycy, zalewając wszystko srebrzystym blaskiem.

– Jak daleko jeszcze? – spytałem.

– Najwyżej dziesięć minut – odparła Mab.

– Mowiłaś to, kiedy ruszaliśmy! – zaprotestowałem.

– Naprawdę? Musiałam się pomylić. Czasami wszystko mi się miesza. Kiedy spaceruję, to jakbym znalazła się w swoim własnym świecie. Czas po prostu płynie...

Wspinaliśmy się na wrzosowisko, ciągnące się na północ od wzgórza Pendle. Minęło co najmniej pół godziny, nim w końcu dotarliśmy do celu – małego okrągłego pagórka porośniętego drzewami i gęstymi zaroślami na skraju lasu. Za nim wznosiła się olbrzymia czarna bryła Pendle.

– Tam na górze, wśród drzew – powiedziała Mab. – Właśnie tam zaczekamy na Alice.

Spojrzałem w mrok pod drzewami i znów poczułem niepokój. A jeśli to jakaś pułapka? Dziewczyna najwyraźniej znała się na zakłęczach. Mogła posłużyć się imieniem Alice, by mnie tu zwabić.

– Gdzie jest teraz? – spytałem podejrzliwie.

– Trzymają ją w chatce gajowego, o tam, pośród drzew. Na razie nie możesz podejść bliżej, to zbyt niebezpieczne. Najlepiej będzie, jeśli zaczekamy tutaj na właściwą chwilę.

Nie spodobała mi się propozycja Mab; mimo niebezpieczeństwa chciałem natychmiast zobaczyć się z Alice. Uznałem jednak, że zaczekam na stosowną chwilę.

– Prowadź – rzuciłem, ściskając mocno w dłoni jarzębinową laskę.

Mab uśmiechnęła się lekko i weszła między drzewa. Ostrożnie podążyłem za nią, wspinając się krętą ścieżką wśród zarośli i splatanych kolczastych krzaków, wypatrując niebezpieczeństw i unosząc w gotowości laskę. Po chwili dostrzegłem światła przed nami i ogarnął mnie jeszcze większy lęk. Czy na górze czekał ktoś jeszcze?

Na samym szczycie wzgórza rozciągała się polana, liczne pieńki drzew tworzyły nierówny owal. Wyglądało to, jakby zrąbano je, by przygotować siedziska i ku memu zdumieniu odkryłem, że na dwóch siedzą już dwie dziewczyny. U stop każdej stała latarnia. Żadna nie była Alice. Obie wyglądały na nieco młodsze, patrzyły na mnie bez mrugnienia wielkimi oczami.

– To moje siostry – oznajmiła Mab. – Ta po lewej to Jennet, ta druga – Beth, ale na twoim miejscu nie zaprzętałabym sobie głowy imionami. Są bliźniaczkami, nie da się ich rozróżnić!

Musiałem się zgodzić: wyglądały identycznie. Włosy miały tej samej barwy i długości jak Mab, lecz na tym kończyło się podobieństwo do starszej siostry. Obie były bardzo chude, z twarzy o ostrych, surowych rysach spoglądały przenikliwe oczy, cienkie wargi zaciskały się twardo niczym pionowe szramy, a wąskie nosy kończyły lekkimi haczykami. Na sobie miały stare, znoszone suknie, podobnie jak Mab, i także były boso.

Jeszcze mocniej zacisnąłem dłoń na lasce. Dwie siostry Mab wciąż wpatrywały się we mnie w napięciu, lecz ich twarze nie zdradzały absolutnie niczego: w żaden sposób nie mogłem stwierdzić, czy to przyjaciółki, czy wrogowie.

– Usiądź sobie, Tom, i daj odpocząć nogom – Mab wskazała jeden z pniaków naprzeciw siostr. – Może trochę potrwać, nim uda nam się pójść do Alice.

Posłuchałem, zachowując czujność; Mab przysiadła na pieńku po mojej lewej ręce. Nikt się nie odzywał i na polanę opadła niesamowita cisza. By zabić czas, zacząłem liczyć pieńki. Było ich trzynaście. I nagle przyszła mi do głowy myśl, że tu właśnie może spotykać się krąg wiedźm.

Gdy tylko ta niepokojąca wizja pojawiła się w mojej głowie, z nieba na polanę opadł nietoperz, po czym trzepocząc skrzydłami odleciał między gałęzie. Potem znikąd zjawiała się wielka ćma i zamiast pofrunąć ku jednej z latarni, zaczęła krążyć wokół głowy Jennet. Zataczała krąg za kręgiem, roztrzępotała, jakby głowa dziewczyny była płomieniem świecy. Jennet wciąż wpatrywała się we mnie z napięciem; zastanawiałem się, czy w ogóle zauważyła ćmę, zbliżającą się coraz bardziej i bardziej i gotowa przysiąść na jej szpiczastym nosie.

Nagle, ku memu zdumieniu, usta Jannet otwarły się szeroko, język wystrzelił naprzód, chwycił ǳmę i cofnął się. Wówczas jej twarz po raz pierwszy się ożywiła, dziewczyna uśmiechnęła się szeroko od ucha do ucha. Potem zaczęła szybko przeżuwać i głośnie połknęła ǳmę.

– Smaczna była? – spytała jej siostra Beth, zerkając na nią z ukosa.

Jennet przytaknęła.

– Bardzo soczysta. Nie martw się, możesz złapać sobie następną.

– Nie omieszkam, nie omieszkam – odparła Beth. – Lecz co, jeśli żadna nie przyleci?

– W takim razie zagrajmy w coś, a ja pozwolę ci wybrać, w co – zaproponowała Jennet.

– Zagrajmy w Plucie Szpilkami. Lubię tę grę.

– To dlatego, że zawsze wygrywasz. Wiesz, że mogę pluć szpilkami tylko w piątki. Dziś mamy środę, o tak. W środy pluję piórami. Musisz wybrać coś innego.

– Co powiesz na Przez Żywopłot Tyłem? – podsunęła Beth.

– To dobra gra. Pierwsza na dole wygrywa.

Obie odepchnęły się w tył ze swych pniaków i zaczęły turlać coraz szybciej i szybciej, aż w końcu zniknęły w zaroślach i kolczastych krzakach. Przez kilka chwil słyszałem, jak lecą w dół do wtóru trzasku i skrzypienia gałęzi, a także krzyków bólu i wybuchów histerycznego śmiechu. Potem zapadła cisza, gdzieś w pobliżu zahukała sowa. Spojrzałem w górę, ale jej nie dostrzegłem.

– Moje siostry uwielbiają tę grę – Mab uśmiechnęła się promiennie. – Ale dziś będą lizać swoje rany, to pewne jak to, że psują się jajka.

W parę minut później bliźniaczki zjawiły się na ścieżce. Kiedy znów usiadły naprzeciw mnie, nie wiedziałem, czy się śmiać z ich wyglądu, czy też współczuć im bólu i niewygód. Ich sukienki były jeszcze bardziej podarte – lewy rękaw Jennet oderwał się całkiem – a skórę pokrywały skaleczenia i zadrapania. We włosy Beth zaplatała się kolczasta gałąź, z nosa na górną wargę ściekała strużka krwi. Lecz ona sama nie wyglądała na poruszona.

– Świetnie się bawiłam! Zagrajmy w coś jeszcze – zaproponowała, zlizując krew. – Co powiesz na Wyzwania? Je też lubię.

– Mnie odpowiada, ale niech chłopak wybiera pierwszy... – Jennet spojrzała na mnie, mrużąc oczy.

– Prawda, wyzwanie, pocałunek czy obietnica? – spytała ostro Beth, wbijając we mnie wzrok. W jej głosie zabrzmiała prowokująca nutka.

Teraz obserwowała mnie cała trojka, żadna z nich nie mrugała.

– Nie chcę grać – odparłem stanowczo.

– Bade miły dla moich młodszych sióstr – upomniała Mab. – No dalej, wybieraj. To tylko gra.

– Nie znam zasad – rzekłem. I rzeczywiście, nigdy nie słyszałem o tej grze; brzmiała jak zabawa dziewczyn, a ja nie miałem sióstr. Nie znałem się na dziewczęcych zwyczajach.

– To łatwe – odparła Mab. – Wybierasz jedno z czworga. Wybierz prawdę, a będziesz musiał szczerze odpowiedzieć na pytanie. Wybierz wyzwanie i dostaniesz do wykonania zadanie. Wybierz pocałunek, a będziesz musiał pocałować tego bądź to, co ci każą – nie możesz odmówić. Lecz najtrudniejsza jest obietnica: musisz ją złożyć i dotrzymać – może na zawsze.

– Nie! Nie chcę grać – powtórzyłem.

– Nie bądź niemądry, nie masz przecież wyboru. Nie opuścisz tego miejsca, póki ci nie pozwolimy. Jesteś w nim uwięziony, nie zauważyłeś?

Czułem coraz większą irytację. Wiedziałem już, że Mab bawiła się ze mną od chwili naszego spotkania na cmentarzu. Ani przez moment nie wierzyłem, że razem uratujemy Alice. Jakimż byłem głupcem! Czemu tu za nią przyszedłem?

Ale gdy spróbowałem wstać, nic się nie stało, zupełnie jakby me ciało opuściła wszelka siła. Ręce opadły mi bezwładnie na boki, a jarzębinowa laska wyśliznęła się z dłoni i poturlała w trawę.

– Lepiej ci bez tego wstrętnego patyka – uznała Mab. – Zaczynaj, czas, byś wybrał jedno z czterech. Zagrasz w naszą grę, czy tego chcesz, czy nie. Zagrasz i spodoba ci się. Wybieraj zatem!

Do tej pory nie wątpiłem już, że cała trojka to czarownice. Nie mogłem sięgnąć do laski i czułem się zbyt słaby, by wstać. Nie bałem się, bo w jakiś sposób wszystko wydawało mi się bardziej snem niż jawa, lecz wiedziałem, że nie śpię i że grozi mi niebezpieczeństwo. Odetchnąłem zatem powoli, głęboko, zastanawiając się spokojnie. Lepiej na jakiś czas im ustąpić. Może, kiedy skupią się na grze, zdołam znaleźć sposób, by się uwolnić. Ale która z czterech możliwości powinienem wybrać?

„Wyzwanie” mogło prowadzić do niebezpiecznego zadania, które musiałbym wykonać.

„Obietnica” była bardzo ryzykowna – składałem już wcześniej obietnice, przez które wpakowałem się w kłopoty. „Pocałunek” wydawał się nieszkodliwy. Jak mógłby zaszkodzić? Potem jednak przypomniałem sobie, że powiedziała „tego bądź to” i bardzo mi się to nie spodobało. Mimo wszystko jednak o mało nie wybrałem jego. W końcu jednak zdecydowałem się na „prawdę”. Zawsze starałem się być szczerzy i uczciwy. Tak nauczył mnie tato. Co złego mogło wyniknąć z mówienia prawdy?

– Prawda – rzekłem.

Słyszając moja odpowiedź, dziewczyny uśmiechnęły się szeroko, zupełnie jakby tego właśnie pragnęły.